ILUSTROWANY GŁOS NARODU

z dnia 4. Października 1902 r.

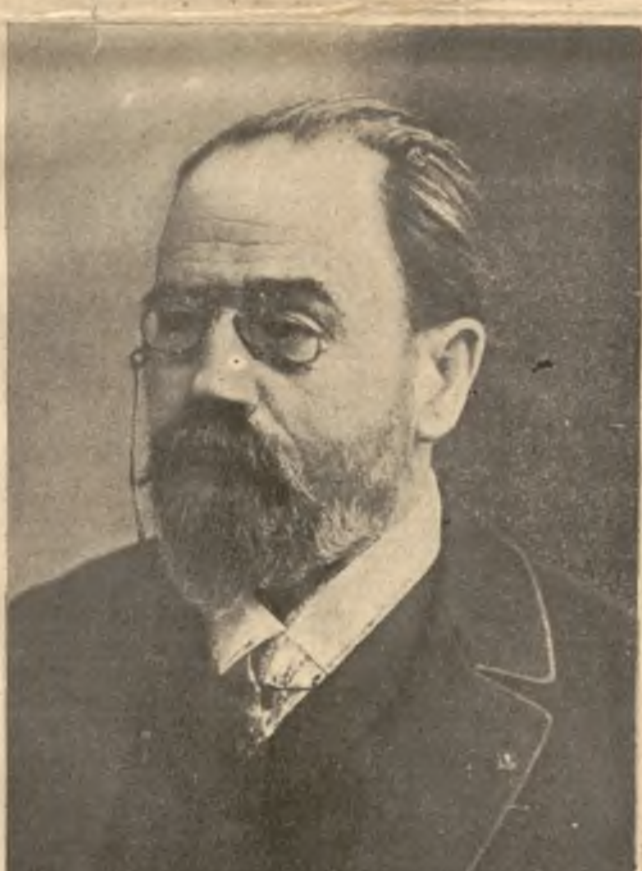
Uczta weselna Bony Sforcji.

Szóstego grudnia 1517 roku, w dzień św. Mikołaja, patrona miasta Bari, *del glorioso San Niccolo*, jak mówi jeden z współczesnych, zaślubiała w Neapolu młoda Sforzówna, Bona, *per procura*, t. j. przez zastępstwo, króla polskiego Zygmunta. Mirino Tanuto, współczesny wenecki kronikarz, który zostawił ogromny zbiór notatek, niejako dziennik ówczesnych wypadków, zaczerpnięty z archiwum Rzeczypospolitej św. Marka, regestruje też wiadomość, nadesłaną z Neapolu, pod datą 5 grudnia: „Jutro, tutaj w Neapolu, odbędzie się uroczystość dla królowej polskiej i to bardzo wspaniała. Jest to córka księżnej Bari; będą wyprawione wielkie zabawy ze znacznym wydatkiem. Damy tytułowane, jakie wyjechały z miasta, przybyły, aby wziąć udział w festynach. Zarządzono wielkie przygotowania, gdyż księżna, matka królowej, chce pokazać wielkość swego rodu...“

Izabella aragońska, matka Bony, lubująca się w okazałości, jak wogóle Hiszpanie, a za nimi Neapolitańczycy, wolałaby zapewne, aby agent wenecki nazwał ją księżną Medyolańską, jak ją na dworze nazywano, choćby dlatego, że praw swoich do wydartego jej księstwa wcale zrzekać się nie myślała. Była to twarda, dumna, zapobiegliwa niewiasta, w którą biły ciosy jeden po drugim. Ot, teraz niedawno jedynak syn jej, wzięty do niewoli przez króla francuskiego, Ludwika XII, zabił się na polowaniu i razem z nim zgasła niemal nadzieja powrotu do wspaniałej stolicy Sforzów... Skoro jednak jej córka, jadynaczka, zaślubiała króla wielkiego państwa, nie wypadało, aby obrzęd weselny odbył się w Bari, prowincjonalnem choć handlowem miasteczku, ani też nie życzyła sobie, aby taki wypadek w życiu, jak wydanie ukochanej córki, jedynej pociechy, jaka jej została, przeszedł niemal niespostrzeżenie, bez rozwinięcia pompy, godnej przyszłego stanowiska Bony i podań hiszpańskich. Więc w Neapolu miała się odbyć uroczystość, w zamku Castelcapuano, pałacu raczej, niż zamku, oddanym na rezydencję. Tutaj posłowie Zygmunta I i cesarza Maksymiliana, występującego w roli dziewosłęba, ją też dogonili.

Wprawdzie Zygmunt sam nie zjeżdżał na ślub, ale w jego zastępstwie, przed ołtarzem, w kaplicy tak zw. zamku Kapuańskiego, przed archidjakonem krakowskim, protonotarjuszem apostolskim, sekretarzem *a secretis* królewskim, Janem Konarskim, ślubował jej wierność, Stanisław Ostroróg, kasztelan kaliski i nałożył na palec pierścień z djamentem, o którym mówi w relacji swojejJustus Jodocus Decyusz, zdaje się nieobecny przy obrzędzie, choć w owym czasie był wysłany do Włoch. Od tej chwili rozpoczyna się w Neapolu szereg festynów, zabaw, które trwały niemal dwa miesiące. Wszystko, co tylko Neapol miał najwykwintniejszego, zacząwszy od wicekróla hiszpańskiego, Rajmunda de Cardona, cały kwiat arystokracji królestwa, podejmowany był przez Izabelę.

Zaraz po ceremonii zaślubiu podano śniadanie, gdzie, jak mówi spółczesny Julian Passero, który zaślubiny opisał, zastawionych było, między innemi, dwieście piramid z cukrami i dwieście mis z „konfektami“. Ale główne przyjęcie stanowił uroczysty obiad. Ku wieczorowi, we wspaniale przystrojonej gobelinami, makatami i srebrem stołowem sali Castelcapuano, zasiadają wszyscy do biesiady: posłowie polscy, cesarscy: Sebastian Sperantius i Augustyn Cemensius (zlatynizowane; ówczesnym zwyczajem, niemieckie nazwiska), sześciu arcybiskupów i biskupów, orszaki poselstw, oraz arystokracja Neapolu. Obiad weselny, jak mówi Passero, był wspaniałym jak rzadko, choćby dlatego tylko, iż trwał... dziewięć godzin, gdyż goście zasiedli do stołów o godzinie 2-ej w nocy, a wstali około 11-ej.



EMIL ZOLA.

Musimy to objaśnić. Liczono wówczas godziny — tak, jak jeszcze do niedawna w Rzymie — od chwili, kiedy z zachodem słońca dzwony kościołów głosiły Anioł Pański. Oczywiście więc, początek rachuby zmieniał się według pory roku i wcześniejszego lub późniejszego zachodu dnia.. W grudniu, miesiącu, w którym Bona wzięła ślub, „Ave Maria“ zaczynało się około godziny 5-ej po południu, więc godzina 2-ga w nocy była naszą godziną 6-tą, a 11-ta 3-ią godziną z rana.

Sam obiad, choć złożony z dwudziestu czterech dań, nie byłby trwał tak długo, gdyby nie to, że był przerywany przez składanie podarunków ślubnych, którym towarzyszyły mniej lub więcej długie przemowy.

To samo działo się zresztą w cztery miesiące później w zamku na Wawelu, kiedy Bona, po przybyciu do Krakowa, została koronowaną. Bankiet koronacyjny, w dniu 18 kwietnia 1518 roku, trwał ni mniej ni więcej tylko — ośm godzin, gdyż w czasie onego zaproszeni goście, czy to z zagranicy, czy z Polski, przynosili dary, jak: czary złote, roztruchany, kubki, misy, klejnoty i t. d., których składanie wypełniło znaczniejszą cześć czasu, jaki uczta zabrała.

Nietylko co do ilości potraw, ale i co do ilości mięsnych podań, obiad weselny w Castelcapuano stanowił zapewne wyjątek. Neapolitańczycy z powodu gorącego klimatu, jedli mało mięsa. Wszakże jeden z Włochów, ksiądz Fulwiusz Ruggieri, Bolończyk, który był w Polsce za panowania Zygmunta Augusta (w r. 1565), powiada w relacji, jaka po nim została, że jeden Polak je więcej mięsa, niż pięciu Włochów, ale że za to w Polsce mało chleba jedzą, a sałaty prawie wcale nie znają; przytem kładzie się dużo pieprznych przypraw i spożywa dużo słodyczy. (Obszerny rękopis ks. Fulw. Ruggieriego znajduje się w Bibliotece narodowej w Neapolu).

Dochowało się też w opisie Juliana Passero *menu* obiadu, jaki wtedy Izabela dała dla ślubnych gości swoich.

Przy honorowym stole (gdyż było ich kilka zastawionych w sali) siedzieli obok Izabeli i Bony posłowie cesarscy i królewscy, oraz najwyższe osobistości z neapolitańskiej arystokracji. Na tym stole, przed *królową*, urządzony był mały wodotrysk z pachnącej wody i dla dopełnienia różnicy rangi, niektóre z przedniejszych potraw obnoszono tylko przy tym stole.

Jedzenie rozpoczyna się od... słodyczy.

Nuga (nougat) z nuszeszków, z serem śmietankowym i marmuladą z różnych owoców.

Potem idą różne sałaty. Do nich podają galaretę z jagnięcia.

Sztuka mięsa z białym sosem z jajami i musztardą.

Gołębie pieczone dwa na każdą osobę.

Pieczeń wołowa ze słodkim, winnym sosem, przyprawianym zapachami lub też z sosem octowym.

Francuskie ciasto, nadziewane słodkim serem.

Dziczyzna gotowana, z pieprzną przyprawą, po węgiersku.

Paszteciki z mięsa. Pawie we własnym sosie.

Słodkie ciasteczka na sposób florencki,

Pieczeń z dziczyzny, z białemi kluskami, które już wtedy, złośliwie, nazywano *strangola-*

preti (dławiksięży), dlatego, że były tak smaczne, iż się nimi księża neapolitańscy zajadali; nazwa, która do dziś dnia utrzymała się u tej potrawy.

Gałeczki z mięsa, a obok nich zupa *nauma,* co do której objaśnić nie umiemy, na czemby polegała.

Bażanty pieczone, z serowym plackiem, wymienionym pod nazwą: *abmongiarare.* Była to potrawa hiszpańska, prawdopodobnie prototyp naszego wielkanocnego placka serowego, używanego zwłaszcza w Krakowskiem, dokąd mógł przyjść razem z Boną.

Kapłony, nakryte słoniną.

Białe ciasteczka. Jednocześnie obnoszono mięsną galaretę w kieliszkach.

Króliki we własnym sosie, oraz *guanti,* ślubna potrawa, będąca jeszcze w życiu u ludu neapolitańskiego, składająca się z zawijanego ciasta francuskiego z cukrem i miodem wewnątrz.

Kuropatwy okładane małemi kwaskowatemi jabłuszkami *(lemoncelle)* i konfitura z pigw.

Ciasteczka z ryżu i wina, zabarwione na czerwono.

Karmeliki na wszystkie stoły.

Płaskie, nadziewane ciastka na wszystkie stoły, a na stół, przy którym siedziała Bona, podano prócz tego smażone kasztany, ułożone w szachownicę.

Uczta zakończyła się ciasteczkami tak zw. *nevole,* bardzo starożytną potrawą neapolitańską, z delikatnego ciasta, przysypanego cukrem. Do tego dodane było białe wino, gotowane z miodem i korzeniami (ipocaassa).

Goście, usadowieni przy stole honorowym, wstali pierwsi od jedzenia, a dla reszty obecnych, obnoszone były jeszcze konfitury. Wszyscy zaś umyli sobie ręce w wodzie pachnącej, zanim opuścili salę jadalną.

Podajemy ten „dokument historyczny", jako próbkę ówczesnych zwyczajów kulinarnych. Żałować tylko musimy, że podobny „jadłospis" nie zachował się z uczty na Wawelu...

Bona była więc już żoną Zygmunta I. który z niecierpliwością oczekiwał jej przybycia do Krakowa.

Wszakże Aleksander hr. Przeździecki, zasłużony wydawca „Jagiellonów Polskich", znalazł w Sztokholmie, w papierach po Katarzynie Jagiellonce, królowej szwedzkiej, córce Bony, list Zygmunta, datowany z Krakowa dnia 4 marca 1518 r. (pisany po łacinie) kiedy umyślnym gońcem dał mu znać książe Celonna z Rjeki, (Fiume) że królowa szczęśliwie przez Adryatyk się przeprawiła. List dopędził ją w Styrji. Przechowywana starannie przez córkę, jako pamiątka dawnych czasów po matce, pożółkła ćwiartka papieru dochowała się aż do naszych czasów. Zygmunt, choć już pięćdziesięcioletni wdowiec, dostrajał się grzecznie do tonu kawalera, wyglądającego z upragnieniem swojej ukochanej.

W istocie czekał na nią dłużej, niż z początku było ułożone. Bona z orszakiem, pod opieką Prospera Colonny, rzymskiego patrycjusza, miała odpłynąć z Manfredonii już w połowie grudnia (1517 r.). Ale jej matka Izabela zwlekała, nie chcąc puszczać córki na zimę w podróż; zwlekała ciągle pod różnymi pozorami, może także dlatego, że jej trudno było rozstać się z jedynaczką, można powiedzieć z jedyną osobą, jaka jej zostawała na ziemi.

Tym sposobem podróż z Neapolu do odległego o kilka dni jazdy portu w Manfredonii nad Adrytyk, trwała... półtora miesiąca. Izabela była sama zastara, aby córkę odprowadzać, obawiała się jednak przedewszystkiem mrozów, gdyż ani Bona, ani orszak jej futer nie mieli, które w Neapolu nie były w użyciu. Orszak ten składał się z trzystu kilkudziesięciu osób.

Wobec tego Ostroróg i Konarski uprzedzali z góry swego monarchę, że przed miesiącem lutym żona nie będzie chyba wysłaną do Polski.

I tak się też stało. Po bardzo długiej zwłoce, dopiero trzeciego lutego odbiły z neapolitańskiego portu (Manfrestonii) żaglowce z Boną, Colonną i otoczeniem, aby wpłynąć do zatoki w Rjece, w jedenaście dni później. Owe półtora tygodnia, spędzone w przeprawie morskiej, na którą dzisiejsze parowce potrzebują dziewięciu godzin, wydałoby się nam nieprawdopodobnem, gdyby nie to, że wiemy, iż umyślnie się nie śpieszono, aby się doczekać przyjaźniejszej pory, wiosny, a przynajmniej, aby zostawić za sobą silne mrozy styczniowe. W Rjece |Fiume) całe towarzystwo czeka jeszcze dziewięć dni, gdyż dopiero 22 lutego ruszają wszyscy w uciążliwą drogę. A i tak Bona trafiła jeszcze na śniegi w górach styryjskich, na wylewy w dolinach i dopiero na Wielkanoc, po wypoczynku w Wiedniu, gdzie była uroczyście przyjmowana, zdążyła do Ołomuńca, gdzie na nią czekali posłowie królewscy, dwustu jeźdźców i dwadzieścia kolebek, zaprzężonych każda w sześć koni, oraz jedna, wspaniała, w ośm białych rumaków, przeznaczonych dla królowej.

Zygmunt posyłał konie po żonę...

Adam Darowski.

EDGARD ALLAN POE.

KRÓL ZARAZA.

Opowiadanie zawierające alegorję.

(Dokończenie).

Jestto rzecz niemożliwa, bym mógł naładować swój okręt choćby czwartą częścią wymienionego przez waszą królewską mość napoju; bo niemówiąc już o wielkiej ilości wódek i likierów ulokowanych tam już przezemnie zrana, niewspominając o rozmaitych towarach zakupionych i spakowanych przez nas dziś wieczór, w rozmaitych portach; obciążyliśmy się właśnie przed chwilą świeżym ładunkiem humming-stoff zabranej i uczciwie „zapłaconej" w gospodzie



HENRYK JARECKI.

pod: Wesołym Wilkiem morskim. Niech zatem wasza królewska mość zechce łaskawie przyjąć: chęć za uczynek: nie mogę bowiem i niepotrafiłbym przełknąć ani kropli jakiegobądź napoju tem mniej karczemnego trunku znanego pod nazwą Black-Strafs".

„Przybijże raz do portu przerwał Tarpolin zdziwiony zarówno długą przemową towarzysza jak i jego odmową, przybij do portu ty majtku słodkiej wody i wypluj z siebie co masz wyplunąć.

Moja łupina Legs, bynajmniej jeszcze nieprzeciążona, a jeśli ty masz już za dużo to ja z przyjemnością oba ładunki na swój pokład przyjmę, raczej, niżbym miał pozwolić by się taka rzecz zmarnowała, ale"-

— „Tego rodzaju układ rzekł surowo Król Zaraza niezgodny jest zupełnie z duchem wydanego przez nas wyroku, który uważamy za stosowny, niezmienny i nieodwołalny. Gdybyście niewypełnili z całą ścisłością przedłożonych warunków, zostaniecie przywiązani do siebie za szyję i nogi, i utopieni w tej oto beczce październikowego piwa".

„Co za wyrok! to mi dopiero wyrok! sprawiedliwy! słuszny! chwalebny! godny! bez zarzutu święty! zawołali wszyscy razem członkowie rodziny Zaraza. — Olbrzymie czoło króla pofałdowało się w liczne bruzdy — stary podagryk napęczniał jak miech kowalski, delikatna dama w muślinowym całunie zakołysała swym fantastycznym nosem; gentleman w bawełnianych spodniach wprawił w ruch szybki malownicze uszy, gruba dama w krochmalnym prześcieradle otworzyła szeroko paszczę nakształt zdychającej ryby, człowiek zaś w mahoniowej trumnie zesztywniał jeszcze bardziej i błysnął olbrzymiemi białkami.

Cha! cha! cha! zagrzmiał Tarpolin pękając ze śmiechu, bynajmniej nie wzruszony ogólnem wzburzeniem cha! cha! „Miałem właśnie dodać w chwili gdy Król Zaraza wetknął swoje trzy grosze miałem właśnie dodać, że co się tyczy trzech albo i więcej gallonów Black Strap to drobnostka dla statku tak zbudowanego jak mój. Ale! pić za zdrowie samego szatana (Boże mi przebacz) ale padać na kolana przed takiem, z przeproszeniem, paskudztwem, jak ten oto niby król, o którym wiem tak pewnie, jak o tem żem nielada grzesznik, że jest nikim innym tylko pajacem Tomem Hurlygurly, o! na to się już niepiszę — bo to przekracza granice rozumu i możliwości.

Nie było mu danem skończyć spokojnie tej przemowy, bo na samo brzmienie nazwiska Tima Hurlygurly wszyscy obecni skoczyli na siedzeniach.

— Zdrada! ryknął król Zaraza I,

— Zdrada! zawołał gentleman podagryczny.

— Zdrada! zapiszczała księżniczka.

— Zdrada ! zabełkotał właściciel olbrzymich uszu!

— Zdrada! zamruczał gentleman w trumnie.

— Zdrada! zdrada krzyknęła wielkim głosem królowa o wielkiej paszczy.

I nienamyślając się porwała nieszczęsnego Tarpolina za spodnie, w chwili właśnie gdy nalewał sobie pełną czaszkę likieru uniosła go w powietrze i wrzuciła z rozmachem do kadzi z piwem.

Kołysząc się jakiś czas jak jabłko w kuflu napełnionym toddy, znikł ostatecznie pokryty kłębami piany, której ilość, zwiększały jeszcze usiłowania jego wydobycia się na wierzch. Wszelako wysoki Legs nie zniósł z rezygnacją niepowodzenia swego towarzysza:

Króla Zarazę wepchnął silną ręką do piwnicy zatrzaskując nad nim płaskie drzwi w podłodze; następnie zerwał z haka wiszący pośrodku sali szkielet, i w jednej chwili rozbił nim czaszkę podagrycznego gentlemana.

Kadź zaś, kryjącą w swych głębokościach Huga Tarpolina, kopnął tak dzielnie nogą, iż okręciwszy się na sobie przewróciła się w miejscu i powódź piwna zalała wściekłą falą całą salę od ściany do ściany.

Zastawiony stół, siedzenia, ceber ponczu, pływać zaczęły po pokoju. Damy dostały spazmów. Różne akcessorja pogrzebowe mieszały się z butelkami, flaszkami, dzbanami i t. d. Człowiek o tiku nerwowym utopił się na miejscu, paralityk zaś w trumnie płynął sobie spokojnie po improwizowanem morzu.

Zwycięzki zaś Legs opasawszy ramieniem kibić grubej damy z paszczą, wypadł z nią na ulicę kierując się prosto do portu gdzie stała „Free and Easy.

Za nim podążał nieustraszony Tarpolin kichający od czasu do czasu i cokolwiek zasapany, w towarzystwie Księżniczki Anna-Zarazy.

BAJKA JAKO MYT.

(Dokończenie).

Architektura.

Grecy uważali architekturę za sztukę „użyteczną" i architekt był w oczach Platona godniejszym szacunku, jak tacy artyści, jak: malarz, rzeźbiarz, lub aktor. Uwzględniano jednak do pewnego stopnia zawód aktorski, gdyż aktor produkował się często na scenie na cześć bogów, ale malarz i rzeźbiarz traktowani byli przez filozofów tych czasów jako kuglarze, skoczki i szalbierze.

Dziś, kiedy malarstwo i rzeźba nie są już pod indexem, może się architekta śmiało przyznać do bliskiego pokrewieństwa z poetą i filozofem nawet. Czemże architekt legitymuje swoją przynależność do familji kapłanów sztuki? Oto tem, co nie jest właściwie integralną częścią architektury, a mianowicie: proporcją, rozmiarem, rytmem składowych części, ornamentyką, polichromją, pewną linją harmonijną w składzie kompozycji. Jestto tak nazwana część „nieużyteczna"... ułudna, bo symetrja i statyka nie wystarczają architekcie, który czuje w sobie dość siły, ażeby w całej pełni rozwinąć skrzydła swej twórczości.

* * *

W bajce zatem spoczywają zarodki sztuki, której zadaniem jest: zapomocą złudzenia zmysłów wprowadzić myśl w sfery oderwane stosunków („des rapports") i form, wziętych ze świata rzeczywistego.

W niższych stadjach techniki artystycznej, (którą tak nazwano od słowa greckiego τεχνη, pojęcie oznaczające zdolność mechanicznego tworzenia), sztuka ma za zadanie naśladować naturę (μιμησις). To naśladowanie natury jest szkołą, w której wydoskonala technikę, rafinuje pojęcie o formie, sztuka staje się twórczą, mistrzynią, kombinuje dane nabytki i tworzy świat własny, którego niedościgniony celem jest Piękno.

Sztuka jest sferą graniczną pomiędzy światem realnym zmysłów i światem myśli.

Są dziś krytycy, co ogłosiwszy bankructwo ideałów i klasycyzmu w sztuce, nie czekając apelacji do sądu przyszłości, likwidują bogatą spuściznę, te skarby nabyte przez wieki, ową tradycję poczucia Piękna, a żyją jednak okruchami tego Piękna.

Mylą się, jeżeli sądzą, że oni nareszcie zaczęli patrzeć objektywnie na świat, niepomni na to, że człowiek patrzy tylko przez pryzmat właściwy jego organizmowi. Zapominają, że myśl nasza jest gałęzią tego drzewa myśli, którego korzenie tkwią gdzieś w nieskończonej przeszłości. Stąd krytycy owi wpadają w rażące niekonsekwencje przez pewien brak bussoli, owego kryterjum sądzenia w sztuce.

Ruskin, który jak meteor zabłysnął wśród chaotycznej nocy krytyki w sztuce naszego wieku, wpadł do pewnego stopnia w bałwochwalstwo

natury. Został on uznanym nawet przez zmaterjalizowaną kategorję estetyków, chcących zaprządz sztukę do tryumfalnego rydwanu postępu, obok nauk społecznych i filozofji, choć Ruskin do tych estetyków-fizjologów nie należał.

Jakkolwiek rozkochany w naturze Ruskin, patrzy na nią, jednak okiem wykształconem na wzorach klasycznych i powiada słusznie, że sztuka jest reprodukcją świata widomego i niewidomego, jako nowej kreacji, pomyślanej w miłości formy i światła. Jestto zatem jakby studjum na temat dzieła boskiego, idea Piękna wcielona w materję, wolą Stwórcy Przedwiecznego. W innem miejscu R. powiada mniej więcej co następuje: sztuka z nizin prawd danych, zdobytych w pierwszej instancji przez kopjowanie detalu, atomu, stopniowo wznosi się w sfery Piękna. Z naśladowcy w pejzarzu staje się twórczą, w obrazie rodzajowym stwarza frazę, w obrazach historycznych, religijnych i allegorycznych dochodzi do szczytu potęgi twórczej.

Dalej jednak muszę się rozstać z mistrzem, kiedy mówi: „to nie w snach, które tworzy wyobraźnia, ani w ideałach przekazanych tradycją, mamy szukać idei piękna“...

Czyż całe nasze życie umysłowe nie jest spuścizną idei przedwiecznych, niezmiennych w swojej osnowie?

Duch ludzki wciąż tęskni do świata plastycznego, czy to w formie mitologicznej, czy świata zaziemskiego w chrześcijańskiej nauce, nawet w takich wybrykach chorobliwych jak nekromancja, kręcące się stoliki i produkcje Euzapii. Wszelkie nowe zdobycze rozumu ludzkiego są differencjacją (różniczkowaniem) jakiejś pierwobytnej primordjalnej idei („ideé mère“), żyjącej w nas od kolebki rodzaju ludzkiego; jak gwiazdy na firmamencie niebieskim raz zapalone, świecą na wieki. Sztuka nie da się ściąć jak uschłe drzewo, bo jest częścią integralną ducha ludzkiego.

Jeszcze wracam do Ruskina i jego genjalnych aforyzmów, nie zawsze jednak wolnych od zarzutu chaotyczności, chociaż wogóle w sztuce mniej jest tych dyssonansów, jak w jego poglądach z dziedziny społecznego ustroju ludzkości.

„Żadna bogini, powiada, nie była nigdy tak piękną, jak młoda Angielka czystej krwi (folblut)“; a potem naprzykład: „człowiek natury, to Apollo syrakuski“... A jednak to nie przeszkadza Ruskinowi taką myśl wygłosić: „Ideały dzisiejsze, to może reminiscencya przeszłości“..., z czem zupełnie się zgadzam, bo to jest ta bajka co od kolebki ludzkości brzmi nam w duszy i z którą rozstać się nie możemy, zrodzona w naiwnej duszy piewcy, atmosferą poezji ogarnia ludzkość i słodzi gorycze walki z prozą życia.

Jan Zagórski.

SPOTKANIE.

NOWELLA.

Przyjęcia baronowej de Raudieres, słynne były na cały Paryż. Nie dość bowiem, że ona sama mistrzynią była w prowadzeniu i podtrzymywaniu rozmowy, w łączeniu i grupowaniu w harmonijną całość, najróżnorodniejszych żywiołów które się u niej zbierały, ale i salony jej urządzone z mieszaniną nieco staroświeckiego przepychu i nowożytnego komfortu, stanowiły wyborne tło dla wykwintnych postaci kobiecych. Wiedziały też o tem piękne Paryżanki i spieszyły tłumnie na przyjęcia baronowej, znajdując tam pole popisu dla kunsztownie obmyślanych tualet, a ta z nich, która otrzymała palmę pierwszeństwa na owych zebraniach, mogła być pewną powodzenia przez cały następny sezon.

Pani Raudieres miała jeszcze jedną słabość. Przepadała za sławnymi ludźmi. Dość jej to było obojętnem, na jakiem polu dobili się owej sławy, chodziło raczej o to, aby w jej salonie ukazali się najpierwej, i rozchorowałaby się pewno ze zmartwienia, gdyby która z przyjaciółek ubiegła ją pod tym względem. Nigdy się to jednak nie zdarzało.

Baronowa umiała rozwijać tak szalony zasób energji i zręczności w usidlaniu i ściąganiu do siebie owych znakomitości, że pod tym względem nikt nie mógł współzawodniczyć i ostatecznie towarzyski świat Paryża, musiał się na to zgodzić, że gwiazdy swoje z jej tylko rąk otrzymywać może.

Dziś właśnie było poniedziałkowe przyjęcie t. zw. „five o'clock“. Wszystkie panie ubrane były ciemno, tak bowiem nakazywały chwilowo panujące prądy. Sukienki ciemne, obcisłe, skromne, aż do przesady. Natomiast w kapeluszach panowała niesłychana rozmaitość; połyskiwały na nich różnobarwne wstążki, aksamity, pióra, skrzydła palety i całe ptaki, strojąc malowniczo ciemne i jasne główki, które na pierwszy rzut oka wyglądały wszystkie młodo i ładnie.

Baronowa krążyła po salonie tajemnicza i tryumfująca, dając do zrozumienia uśmiechami i półsłówkami, że goście dziś zebranych w jej domu, spotka wkrótce niezwykła jakaś i radosna niespodzianka.

Zasypywano ją pytaniami.

— Powiedz kogo nam dziś pokażesz?

— Na kogo czekasz?

— Nie mogę powiedzieć; a zresztą sama jeszcze nie jestem pewną. On taki zajęty, rozrywany, a przytem, to dziki człowiek.

— Dziki człowiek?

Szmer zainteresowania rozszedł się po sali.

— Nie tyle dziki, ale towarzystwa nie lubi, unika ludzi.

Wtem zaanonsowano panią Gerfaut.

— A! kochana pani Janina, witamy, jakże się czuje mąż pani? Musi być znużony ostatniem posiedzeniem, dyskusja była tak gorąca.

— Ale też mowa jego była świetna, zmiażdżył po prostu przeciwnika.

Nowoprzybyła, była to wysoka i piękna brunetka, o dźwięcznym metalicznym głosie.

— Dziękuję państwu, mąż mój czuje się zupełnie dobrze, przyzwyczajony jest do walk parlamentarnych.

— Możemy więc pani powinszować.

— Mamy przed sobą przyszłą ministrową.

— To znów przedwczesne. — Jak się masz Madziu — jakże mi miło spotkać tu panią marszałkową, właśnie chciałam wczoraj... Tu pani Janina urwała rozpoczęte zdanie, wszystkie zaś panie zwróciły głowy ku drzwiom. Jednocześnie zabrzmiał głos pani Bandiere rozradowany i zwycięski, zdawała bowiem sobie doskonale sprawę z wrażenia, jakie wywiera na swoich gości.

— Kochany panie de Chantelle! jakżem wdzięczna, żeś pan raczył zrobić dla mnie tak zaszczytny wyjątek.

— Stefan de Chantelle! — więc to on? Aa! — i szmer pochlebny rozszedł się wśród obecnych.

Któż to jest ten pan de Chantelle — pytała otyła marszałkowa.

— Pani! to wielki człowiek. Podróżnik, poeta, badacz naukowy, znakomitość — posypały się liczne objaśnienia.

— Świeżo wydał książkę, która jest poprostu arcydziełem.

— Tak, tak, arcydziełem — potwierdził chudy pan, urzędowy znawca literatury, mimo, że książkę Chantella znał jedynie z wystaw księgarskich.

Tymczasem Stefan de Chantelle przedstawiony przez baronową towarzystwu, stanął z kolei przed panią Janiną. W chwili, gdy wymawiano jego nazwisko, pani Gerfaut rzekła z wymuszonym nieco spokojem: My się już znamy — potem zaś dodała — Czemu pan nas dotąd nie odwiedził, to nie ładnie zapominać tak o dawnych znajomych. — Wówczas dopiero znakomity gość podniósł spuszczone powieki i ogarnął wejrzeniem siedzącą przed sobą damę, potem skłonił się przed nią nie rzekłszy jednak słowa, jakby nieco zmieszany. Wszystkich oczy zwrócone były na niego. Kobiety nie taiły się wcale z tem, że znajdują go czarującym. Co za połączenie dystynkcji i męskiej siły, jaki zachwycający kontrast tej delikatności rysów i ułożenia, z ogorzałością cery przepalonej podzwrotnikowem słońcem. Prawdziwy gentleman przybrany w nieskazitelnie skrojony garnitur, a powracający z wyprawy, której uczestnicy nie wszyscy uszli z życiem.



LUDWIK CZELAŃSKI.

Tu i ówdzie powtarzano sobie na ucho dramatyczne szczegóły i wypadki, jakich ten człowiek był świadkiem, dowody szalonej odwagi złożone przez niego i jego towarzyszy. A jeszcze ta książka wydana po powrocie, to istne objawienie olbrzymiego talentu, może genjuszu... Skupiono się naokoło niego, panie toczyły z sobą pokątne walki, każda bowiem chciała go mieć chociaż przez chwilę wyłącznie tylko dla siebie. Przytykając usteczka do krawędzi serwskich filiżanek, zadawały delikatnie rozmaite pytania, tyczące się podróży, odpowiedzi udzielanych prawie nie słyszały, bo co prawda, nie chodziło im wcale o te szczegóły, a tylko o to, która z nich zwróci na siebie uwagę „znakomitego, pięknego, szlachetnego“ podróżnika-poety.

Baronowa przepełniona szczęściem, pyszniła się gościem swoim bez śladu skromności; rozpromieniona łowiła uchem każdy wyraz przez niego wyrzeczony, a błyszczący wzrok, którym toczyła po zgromadzeniu, zdawał się mówić — a co, czy widzicie, to mój gość, mój poeta, mój sławny człowiek. — Rzeczywiście, zwycięstwo odniesione obecnie przez nią, było jednem z najświetniejszych. Stefan de Chantelle bawił już w Paryżu od paru miesięcy, nie ukazywał się jednak nigdzie, obracał się dotąd w ciemnych jakichś kołach literackich czy też naukowych, baronowa pierwsza zdobyła go dla towarzystwa, wprowadzając do swego salonu w chwili właśnie, gdy jego portrety ukazywać się zaczęły na szpaltach modnych dzienników; Stefan Chantelle, cokolwiek nieśmiały, jak wogóle ludzie bardzo wrażliwi, nie umiał oprzeć się kobiecym naleganiom, a związawszy się przyrzeczeniem, ukazał się na modnym five o'clock'u, gdzie mu los zgotował niespodziankę w osobie pani Janiny, dawnej jego znajomej.

* * *

Stefan de Chantelle i obecna pani Gerfaut, byli niegdyś zaręczeni. Była to miłość przynajmniej ze strony Stefana, którego entuzjastyczna natura nie znosiła uczuć pośrednich. Janina kochała go również, przynajmniej w owym czasie gotowa była na to przysiądz; okoliczności jednak inaczej pokierowały jej losem.

Rodzice Stefana de Chantelle utracili cały prawie majątek w jakiejś katastrofie; ojciec jego umarł wkrótce ze zmartwienia, on zaś sam, czując się jedyną podporą matki, oddał się studjom naukowym z całem zapamiętaniem, właściwem swemu usposobieniu.

O wierności narzeczonej nie wątpił ani na chwilę, sądząc uczucia jej podług własnych. Tymczasem, w chwili właśnie, gdy po ukończeniu świetnem nauk, zamierzał powrócić w rodzinne strony, otrzymał list od rodziców narzeczonej, żądający od niego zwolnienia córki z dotychczasowych zobowiązań; a w liście znajdował się stereotypowy przypisek Janiny, upewniający go o szczerej boleści i konieczności poświęcenia się dla szczęścia bliskich.

Dotknięty do żywego, Stefan pospieszył do matki, chcąc przy boku jej przecierpieć ten wielki ból, jak niegdyś drobne dziecinne żale; zastał ją złożoną ciężką chorobą, a przybył dość na czas, by konającej przymknąć powieki — I tak został naraz pozbawionym wszystkiego co mu było dźwignią i oparciem w życiu.

Organizowała się wówczas wyprawa daleka, niebezpieczna, mająca na celu nie tylko badania naukowe ale i niesienie pomocy zaginionym podróżnikom, którzy lat temu kilka, udali się byli w głąb pustyń i krajów nieznanych.

Stefan de Chantelle zaciągnął się bez wahania do owej wyprawy, i wraz z towarzyszami swymi znikł na lat kilka z oczu cywilizowanego świata. Czas jakiś miano ich za bezpowrotnie zgubionych, sądząc, że padli ofiarą krwawych zajść, których niedokładne tylko echa dochodziły niekiedy z dalekiego wschodu. A jednak powrócili wreszcie; nie wszyscy wprawdzie, bo kilku złożyło na zawsze głowę w owych krainach odległych; ale zato pozostali, przywieźli z sobą tak wielki zasób zdobytych wiadomości, tyle dobrego zdziałali, że dziś oczy całego cywilizowanego świata, zwrócone były na nich z wdzięcznością i podziwem.

* * *

— Zgadnij kogo spotkałam dzisiaj? mówiła pani Janina do męża siedząc naprzeciw niego, przy stole wykwintnie zastawionym, mimo, że byli tylko sami, i obiad jedli we dwoje.

Piotr Gerfaut, pogrążony w kombinacjach dyplomatycznych, nie był dziś w stanie podtrzymywać uważnie rozmowy, niemającej związku z biegiem jego myśli, odrzekł więc z roztargnieniem.

— Nie wiem, nie domyślam się.

— To tak jak mówi przysłowie, ciągnęła pani Janina, nakładając sobie na talerz udko kuropatwy, „Góra z górą się nie zejdzie“.

— Co mówisz duszko o górach? zagadnął Pan Piotr.

— Ależ ty nie słuchasz co mówię. Czy wiesz kto powrócił? Stefan de Chantelle, dawny mój narzeczony.

— No więc cóż?

— To, że zupełnie niespodzianie pojawił się dziś u baronowej, i to wyobraź sobie elegancki, świetny, zupełnie zdrowo wygląda, zdaje się, że się już pocieszył.

— Dlaczegóżby nie miał się pocieszyć, zauważył dobrodusznie Piotr.

Pani Janina spojrzała z urazą na męża; ten zaś ciągnął dalej.

— Nic dziwnego, że się tak dobrze przedstawia; podróże kształcą młodzież, a zresztą pojawienie się jego nie jest taką niespodzianką, widocznie nie czytujesz gazet, które od miesiąca o nim tylko piszą.

— Rzeczywiście musi być bardzo sławny: u baronowej wyrywano go sobie, a zwłaszcza panie, a baronowa sama, nie masz pojęcia, jak się z nim afiszowała, mówiła pani Janina z pewnem podrażnieniem.

— A ty, czy nie zmieszałaś się na jego widok? spytał pan Piotr tonem na pozór zupełnie spokojnym, badając jednak ukradkiem wyraz twarzy żony.

— Ani troszeczkę, nawet nie spodziewałam się, że mię to tak mało obejdzie.

— Nic dziwnego, przecie go nie kochałaś.

— Jakto nie kochałam?

— Kochając go, nie poszłabyś przecie za mnie.

Pani Janina uczuła się znów dotknięta. — Pożycie jej z Piotrem było zupełnie szczęśliwe, mimo to lubiła niekiedy w duchu stroić się w aureolę poświęcenia, i przekonaną była, że należy się jej od męża dużo wdzięczności.

— Wracając do Chantella — mówił dalej Piotr — muszę przyznać, że dzielny z niego człowiek, a przytem co za talent, czytałem jego książkę, wspaniała rzecz, jedna z tych, co mogą wywołać przewrot w pojęciach. Prawda, że młodość jego i nadzwyczajne przygody dają mu patent na bohatera romansu, bez wątpienia też nasze panie nie dadzą mu chwili wytchnienia, byle tylko on sam nie brał tego zanadto serjo. Zresztą to już jego rzecz.

* * *

Przez parę następnych tygodni Janina nie spotkała ani razu Stefana de Chantelle, natomiast słuchać o nim musiała nieustannie. Baronowa jego imię miała wciąż na ustach, cytowała na pamięć całe ustępy z jego książki, i nie mówiła nigdy inaczej jak: „Byliśmy z panem Stefanem tu, wybieramy się tam, pan Stefan mi doradził“. Gadanie takie drażniło niesłychanie panią Janinę. Jakiem prawem ta nieznośna, pretensjonalna baronowa wyraża się tak poufale o człowieku, do którego ona Janina ma chyba i dziś jeszcze daleko większe prawo. — I pod wpływem tego rozdrażnienia, wspomnienia wspólnie przeżytej przeszłości powracały do niej coraz szybciej i uporczywiej. Wszakże ten sławny, ten wielki Stefan de Chantelle, o którym wszyscy znajomi jej mężczyźni i kobiety mówili nietylko z uwielbieniem, ale i z pewną czcią, to był przecie jej Stefek, jej własny niegdyś. Ten sam co otaczał ją niegdyś taką tkliwością bez miary, ten sam co chronił ją zawsze, dogadzał we wszystkiem, z oczu umiał wyczytać najmniejsze życzenie.

I ona byłaby mu pewnie została wierną, nie była przecie nigdy chciwą, nie mogła być nią, nierozumiejąc i nie znając niedostatku, ale nie umiała przetrwać dłuższej nieobecności narzeczonego. Była jedną z tych istot, które potrzebują, by się niemi wciąż zajmowano; musiała czuć naokoło siebie ciepłą atmosferę opiekuńczej, pełnej uprzedzających względów troskliwości, wtedy dopiero czuła się zupełnie szczęśliwą. To też sama prawie nie wiedziała kiedy Piotr Gerfant zajął miejsce nieobecnego Stefana, który co prawda, wyjeżdżając nie żądał od niej żadnych przysiąg, żadnych obietnic. Zresztą i tak los okazał się łaskawym dla pani Janiny, dając jej za męża człowieka, z którego miłości każda kobieta mogłaby się czuć dumną. Mimo, że oddany pracy publicznej, znajdował zawsze dość czasu, by i żonie co dnia chwil kilka poświęcić — myślał o jej przyjemnościach, wnosząc w domowe ich pożycie pewien wdzięk niewymuszonej uprzejmości i galanterji, jaką rzadko najlepsi nawet mężowie obdarzają żony po kilku latach pożycia. W ostatnich dopiero czasach, od kiedy przed Piotrem Gerfant otworzyła się nadzieja świetnej karjery politycznej, a znajomi zaczęli go nazywać przyszłym ministrem, zaszła pewna zmiana w stosunku małżonków do siebie. — On coraz częściej przebywać musiał za domem, w domu zaś zajęty przygotowaniem interpelacji i mów parlamentarnych, nie mógł prawie przebywać z żoną, tem mniej towarzyszyć jej za domem; skutkiem czego pani Janina coraz częściej ukazywała się sama w teatrze i na zebraniach towarzyskich, np. u baronowej, gdzie spotkała po tylu latach Stefana de Chantelle. Odtąd myślała wciąż o nim, pragnęła i obawiała się razem następnego spotkania, układała sobie z góry co mu powie, jaki wyraz twarzy przybierze. Nie dopuści go do żadnych wyznań, nie pozwoli na żadne przypomnienia. Ale gdyby tak można porozumieć się bez słów i żywić dla siebie czystą, wzniosłą przyjaźń braterską, a przedewszystkiem wyrwać go ze szponów tej natrętnej baronowej. „Wolna jest przecie i majętna, gotowa jeszcze wydać się za niego“ — myślała pani Janina, a na myśl tę dziwnie przykre uczucie ściskało jej serce.

* * *

W końcu nastąpiło owo upragnione spotkanie. Senatorowie R. wydawali za mąż najstarszą córkę i przy tej okazji dawali wielki bal na który zaproszonym był cały piękny świat Paryża. Pani Janina nie wątpiła ani na chwilę, że spotka tam de Chantella; od wystąpienia bowiem u baronowej, zapraszano go wszędzie, a i on dał się jakoś rozruszać i bywał prawie wszędzie, z wyjątkiem u państwa Gerfant. — Okoliczność ta niepokoiła Janinę, a jednocześnie budziła w niej nieokreślone nadzieje, widocznie nie jest mu obojętną, skoro jej tak ttaranie unika.

Wszedłszy na salę balową, wsparta na ramieniu męża, szukała wzrokiem wśród zgromadzonych gości tego, którego obraz towarzyszył jej nieustannie przez wszystkie dni ostatnie. Nie było go; przynajmniej nie udało się jej nigdzie odnaleźć tak szlachetnej głowy, o marzycielskich oczach wpatrzonych w nią niegdyś z tak bezmierną tkliwością. Przetańczywszy automatycznie parę turów walca, pani Janina uczuła się odrazu śmiertelnie znużoną, zdenerwowaną, poprostu chciało się jej płakać. Usunęła się więc do bocznego saloniku, by opanować się nieco i uporządkować wzburzone nerwy. Opadłszy na kozetkę w zniechęconej postawie, myślał na wpół rozpacznie, że przybyła tu napróżno, że napróżno obmyśliła dzisiejszą toaletę, arcydzieło smaku i wytworności, bo jedyny człowiek dla którego chciała być piękną, jedyny, którego widzieć pragnęła, nie przybył tu wcale i może nie zobacy go już nigdy.

Naraz podniósłszy oczy, ujrzała o kilka kroków przed sobą przedmiot, tak uporczywej tęsknoty. Stefan de Chantelle stał w progu saloniku obrócony plecami do pani Gerfant i przyglądał się wirującym po salonie parom, nie zdradzając wcale zamiaru wzięcia udziału w ogólnem rozbawieniu. W tej chwili właśnie paru tancerzy wpadło do saloniku w tempie walcowym odprowadzając zmęczone i spragnione chłodu tancerki; de Chantelle usunął się, aby im zrobić miejsce, i wtedy oczy jego spotkały się z rostęskinonemi źrenicami pani Janiny.

Pociągnięty magnetyczną siłą tego wzroku, znaiazł się wnet przy niej, a ująwszy miękkim ruchem dłoń jej wyciągniętą na przywitanie, przycisnął ją do ust prawie nieświadomie.

Po chwili salonik opróżnił się znowu, rozbawione panienki uprowadzone zostały przez swych tancerzy, a Stefan i Janina zostali zupełnie sami.

Jak długo siedzieli tak we dwoje, przywołując ubiegłe wspomnienia, co mówili, i w jakie słowa przyoblekali uczucia przepełniające ich serce, z tego żadne z nich nie zdawało sobie sprawy.

To też gdy Piotr Gerfant uwolniony wreszcie od partyjki, w którą go przemocą wciągnięto, stanął przed żoną, proponując jej powrót do domu, spojrzeli na niego, jak ze snu zbudzeni. — Zwłaszcza de Chantelle, dla którego w ciągu tych paru godzin, znikła zupełnie rzeczywistość, ustępując miejsca jakby różdżką czarodziejską wywołanym obrazom przeszłości, nie mógł się prawie opanować. Pani Janina odzyskała prędzej równowagę, a nawet z właściwą Paryżankom przytomnością umysłu, znalazła sposobność rzucenia Stefanowi na pożegnanie kilku słów: „Jutro o 10 godz. w ogrodzie Luksemburskim“.

Nazajutrz o godzinie oznaczonej de Chantelle oczekiwał w ogrodzie. Przyszedł tu nie otrzeźwiony jeszcze z wczorajszego upojenia, wiedziony siłą jakąś instynktową leżącą po za granicami jego woli. Wkrótce ujrzał z daleka wytworną sylwetkę ciemno ubranej kobiety, podniósł się więc z ławki i szedł na jego spotkanie.

— Czy wiesz dlaczego chciałam pomówić z tobą na osobności — rzekła Janina, przerywając pierwsza milczenie.

Stefan uczynił gest nieokreślony, uczuł jednak jednocześnie dziwny chłód w sercu a w mowie Janiny uderzyła go jakaś nuta fałszywa, coś co mu psuło świetlany wytwór własnej wyobraźni, wywołany wczorajszą rozmową.

— Nie umiem kłamać, nikogo dotąd nie zdradziłam, niczyjego zaufania nie zawiodłam.

— Czy tak? — zauważył ironicznie Stefan.

— Dawniej widzisz co innego, byłam młodą, niedoświadczoną dziewczyną, ale dziś jestem mężatką.

— Bez wątpienia.

Stefan przybladł nieco, nie w przewidywaniu zerwania, na które sam był przygotowany, nie chcąc odegrywać fałszywej roli wobec Piotra Gerfant, którego szczerze poważał.

Ale coś mu się psuło w tej kobiecie, która mu jednak była tak długo gwiazdą przewodnią i pierwszem marzeniem lat młodzieńczych.

Pani Gerfant omyliła się co do znaczenia jego milczenia. Wydało się jej, że Stefan cierpi straszliwie z jej powodu, usiłowała go zatem pocieszać i pogodzić z losem, i w tym celu mówiła długo i żałośnie o obowiązkach, których zdradzać nie może i nie chce.

— Kocham cię więcej może niż kiedykolwiek, ale jestem zamężną, a nie chciałabym narażać cię na nowe rozczarowania. Może źle zrobiłam odkrywając ci co się w sercu mojem dzieje, ale widzisz, doprowadzona byłam do rozpaczy tęsknotą i uczuciem zazdrości, wszyscy mówili, że żenisz się z baronową, rozumiesz zatem.

— Naturalnie.

Wyznania pani Gerfant nacechowane były szczerością — należało jej to przyznać, a jednak...

Pani Gerfant mówiła długo jeszcze w podobny sposób. Stefan słuchał jej na pozór uważnie, w istocie zaś nie troszczył się już o treść jej słów, a tylko czuł, że w sercu jego odbywa się jakiś przewrot, a z oczu opada zasłona, ukazując mu we właściwem świetle prawdziwą wartość tej tak długo uwielbianej istoty. Oschłe serce, natura płaska i pospolita, i taką była zawsze. Jako młoda dziewczyna nie umiała dochować wierności kochanemu człowiekowi, dziś gotowa jest zdradzić męża po dziesięćkroć godnego szacunku, i którego zresztą wybrała z wolnej i nieprzymuszonej woli.

Patrzył w twarz jej i nie umiał pojąć jakim sposobem miłość ku tej kobiecie mogła go wygnać z ojczyzny, i tyle bolu zadawać. Zwolna niechęć jego przechodziła w zupełną obojętność, w końcu uczuł w sercu coś nakształt wzgardliwej litości. Uczucia te malowały się w jego oczach tak dobitnie, że dostrzegła je w końcu i pani Gerfant, a zmieszana wyszeptała niepewnym głosem.

— Więc będziesz miał odwagę odjechać, uczynisz to dla mnie, dla nas obojga.

Stefan powstrzymał ją ruchem ręki.

— Uspokój się Janino. Wyjeżdżać wprawdzie nie mam zamiaru, zbyt wiele węzłów zespoliło mnie obecnie z krajem moim i społeczeństwem; nie jestem już zresztą dzieckiem, abym dla wybryku fantazji kobiecej, poświęcał poważne zagadnienia życiowe.

Janina spojrzała na niego osłupiała.

— Ale — ciągnął dalej — możesz być spokojną, że spotykać się z sobą nie będziemy; chwilowo tylko i przypadkiem zabłąkałem się w ten twój świat, który nie jest moim i nigdy nim nie będzie.

Pani Janina uczuła wreszcie, że się ten człowiek naprawdę od niej odrywa, i że jest wobec tego zupełnie bezsilną, wówczas serce jej wezbrało łzami, których jednak nie wolno jej było wypłakać na zewnątrz. On zaś podniósł się z ławki, a skłoniwszy się machinalnie, oddalił się zwolna, nie podając nawet na pożegnanie ręki pani Gerfant, o której obecności prawie zapomniał, idąc za biegiem własnych myśli. Ona została jeszcze chwilę, patrząc za odchodzącym — i wówczas dopiero zrozumiała całą wartość tego człowieka, i to, że jest dla niej bezpowrotnie straconym. Dwie wielkie łzy stoczyły się po jej policzkach, i przez tę jedną chwilę po raz pierwszy w życiu kochała i cierpiała na prawdę.

L. de Nitis.

Nasze ilustracje. Do dzisiejszego numeru dajemy portrety: Zoli, oraz dwóch dyrygentów świeżo otwartej Filharmonji lwowskiej, pp.: Henryka Jareckiego i Ludwika Czelansky'ego.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.